



FELIKS SKOWROŃSKI

Warszawa, 11 czerwca 1946 r. Wicoprokurator Zofia Rudziewicz przesłuchała niżej wymienionego w charakterze świadka. Uprowadzony o odpowiedzialności karnej za składanie fałszywych zeznań świadek zeznał, co następuje:

Imię i nazwisko	Feliks Skowroński
Data urodzenia	29 maja 1894 r.
Imiona rodziców	Feliks i Wanda
Miejsce urodzenia	Jaksice, pow. Inowrocław
Miejsce zamieszkania	Poznań, ul. Słowackiego 34 m. 9
Wyznanie	rzymskokatolickie
Zajęcie	kierownik przedsiębiorstwa „Cegielski”
Wykształcenie	wydział prawny i filozoficzny Uniwersytetu Jagiellońskiego
Karalność	niekarany

Gdy wybuchło powstanie warszawskie, mieszkałem we Włochach pod Warszawą u ks. dr. Chróścickiego. Byłem kierownikiem akcji niesienia pomocy Polakom ewakuowanym z Warszawy na teren Włoch i jednocześnie rzecznikiem i tłumaczem przy parafii katolickiej we Włochach.

Po upadku powstania i całkowitej ewakuacji ludności ks. biskup Szlagowski i ks. Chróścicki zaczęli zastanawiać się nad uratowaniem kościołów w stolicy. Na ich propozycję zgodziłem się otrzymać pełnomocnictwo upoważniające mnie do ratowania mienia kościelnego. Oryginał tego pełnomocnictwa spisany był w języku niemieckim z dniem 26 października 1944, podpisany przez ks. biskupa Szlagowskiego oraz kanclerza ks. dr. Majewskiego z numerem 4256 (przedstawiam). Z tym pełnomocnictwem zwróciłem się do gubernatora Fischera przebywającego wówczas w Sochaczewie, gdzie znajdowały się władze dystryktu.

Przyjął mnie Pollard, zastępca Fischera i polecił mi zwrócić się do Räumungskommando, do szefa tej instytucji dr. Rodiga, aby ten rozstrzygnął sprawę.

28 października zwróciłem się do Rodiga [urzędującego] przy ul. Wolskiej. Rodig był urzędnikiem dystryktu, wynikało to z rozmowy z nim, gdyż powoływał się na to, iż otrzymał instrukcje z dystryktu, nosił ubranie granatowe jak urzędnicy dystryktu. Był on szefem Räumungskommando i zajmował się ewakuacją domów prywatnych, mienia kościelnego i gminnego. Natomiast przy Räumungskommando istniał oddział żandarmerii SS, który specjalnie zajmował się ewakuacją mienia państwowego i przydzielania konwojentów tym osobom, którym pozwolono na wywóz sprzętu z Warszawy. Żandarmeria podlegała Geiblowi – BrigadenführerSS-Polizei, przebywającemu w Ożarowie, komendantem konwojentów był Brandstätter.

Rodig dał mi zezwolenie wjazdu do Warszawy na okres tygodnia. Pozwolił zabrać z miasta jedynie szaty kościelne, sprzęt liturgiczny, księgi stanu cywilnego. Nie zgodził się na ratowanie obrusów, rzeźb, bibliotek, kosztowności i urzędzeń kościelnych. Wynikało z tego wyraźnie, że Niemcom chodzi o zniszczenie dóbr kulturalnych i bogactwa narodowego.

W listopadzie 1944 zwróciłem się jeszcze raz do dystryktu w Sochaczewie celem otrzymania pozwolenia na wywóz biblioteki seminarium duchownego w Warszawie. Przyjął mnie wówczas szef kancelarii (Amtschef) Harbon, który wręczył mi pismo do Rodiga z poleceniem wszczęcia akcji ratowania biblioteki seminaryjnej. Rodig jednak nie honorował tego pisma i skierował mnie do Geibla. Ten mnie nie przyjął. Konferowałem z jego adiutantem (nazwiska nie pamiętam), który potraktował mnie w sposób lekceważący i szyderczy i oświadczył, że nie może udzielić zezwolenia, gdyż Niemcy chcą rozpocząć własną akcję. Co rozumiał pod „własną akcją”, tego nie wiem. Od Rodiga otrzymałem przedłużenie poprzedniego pozwolenia na wywóz dobra kościelnego w poprzednim zakresie do 13 listopada 1944 włącznie.

Od 30 października do 13 listopada 1944 dzień w dzień jeździliśmy do Warszawy. Wraz ze mną jeździli księża odnośnych kościołów oraz kilka furmanek. Wywoziliśmy rzeczy objęte pozwoleniem. Odbywało się to pod eskortą konwojentów żandarmów. W pierwszym dniu, 30 października, konwojenci nasi łapali Polaków, którzy udawali się do swych domów, aby ratować trochę dobytku. Żandarmi rozstrzeliwali ludzi bez względu na wiek i na płeć.

Następnego dnia konwojenci nie chcieli nas wpuścić na Stare Miasto i dopiero po kilku dniach otrzymaliśmy na to zezwolenie. Przez cały czas zachowywali się brutalnie. Jeszcze gorzej zachowywali się SS-mani rewidenci, którzy wykradali rzeczy z naszych wozów. Jeden z nich grzebał też w komunikantach w poszukiwaniu złota. Nie zezwolono nam na przewożenie osobistej bielizny i ubrań księży.

Po upadku powstania kościoły jeszcze stały. Później zostały wysadzone w powietrze i zniszczone przez Niemców kościoły: Zbawiciela, św. Barbary, Karola Boromeusza. Ksiądz biskup Szlagowski oświadczył mi, że Niemcy zniszczyli kościół św. Barbary wbrew przyrzeczeniu ocalenia go. Gdy znajdowałem się w katedrze św. Jana, Niemcy dwukrotnie wysadzali w powietrze świątynię i zniszczyli fronton, resztę filarów i jedną z kaplic. Przy tym kradli, co mogli, zarówno z katedry, jak i z kościoła św. Aleksandra, skąd wynosili walizkami pieniądze i kosztowności.

Kościół św. Stanisława przy ul. Bema Niemcy zamienili na stajnię, a sztandary i kapy kościelne na derki dla koni. W kościele św. Anny zastaliśmy konie i samochody, a ławki kościelne były brane na opał. W kaplicy powązkowskiej zastaliśmy porzrzucone trupy.

Podczas moich codziennych przyjazdów do Warszawy widziałem, że domy przy ul. Kruczej, Marszałkowskiej, Wspólnej itd. stały na początku, poczym były systematycznie palone. To samo działo się na ul. Śniadeckich, Piusa, Wolskiej itd. Podczas tego trzynastodniowego jeżdżenia do Warszawy widywałem całe ulice, a nawet całe dzielnice w płomieniach. Akcja była przeprowadzana przez Räumungskommando, przez specjalną kolumnę podpalaczy, składającą się z żandarmów i SS-manów.

W pierwszej połowie października sprowadzono z Rzeszy Niemców, którzy ograbili Warszawę. Wiem to, gdyż otrzymałem wtedy przepustkę celem zwiezienia węgla z gazowni do Włoch dla biednej ludności polskiej. Obserwowałem wtedy pociągi z Niemcami wywożącymi rzeczy z Warszawy. We Włochach stworzono magazyn artykułów aptecznych zrabowanych w stolicy; materiały te przewieziono do Niemiec.

Za zniszczenie po powstaniu Warszawy odpowiada Fischer jako szef dystryktu, któremu podlegało Räumungskommando, żandarmeria i SS-Polizei.



Dodaję, że żandarmeria masowo rozstrzeliwała osoby posiadające przepustki, które po wejściu do Warszawy chciały uratować złoto bądź wyroby skórzane. Sam widziałem trupy leżące po dziesięć dni na ul. Wolskiej z napisem „bandyci” celem odstraszenia innych.

Jako kierownik szerzenia pomocy ludności ewakuowanej z Warszawy na terenie Włoch zwracałem się do naczelnika wydziału zdrowia w dystrykcie warszawskim. Naczelnik ten oświadczył, że Polacy, którzy wywołali burdę, nie mają prawa do jakiegokolwiek pomocy. Odmówił również pomocy lekarskiej, przy czym podkreślił, że dla niego Czerwony Krzyż nie istnieje.